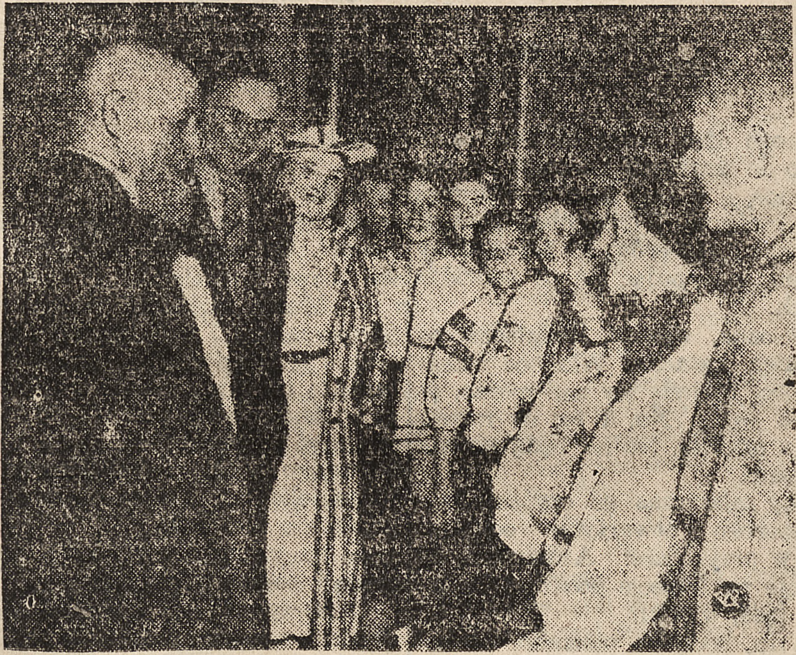
NIEDZIELA 19 CZERWCA 1938 ROKU. Nr. 40

MÓJ ŚWIATEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego" dla młodzieży



DZIECI WOŁYŃSKIE W WARSZAWIE

Do Warszawy przybyła z Gródka Wołyńskiego wycieczka dzieci szkół powszechnych, nagrodzonych w konkursie Komunalnych Kas Oszczędności pod hasłem „Oszczędzaj — poznasz Polskę". Na zdjęciu — marszałek Prystor w gronie dziatwy wołyńskiej.

DO CZYTELNIKÓW „MOJEGO ŚWIATKA"

Dzisiejszy numer „Mojego Światka" jest ostatni przed wakacjami. Następny numer ukaże się we wrześniu, na początku roku szkolnego.

* * *

Pewnego dnia, przez otwarte okna zajrzało do drukarni gorętsze niż dotąd słońce, a w ślad za nim wtargnął ciepły wietrzyk i dmuchnął z całej siły w plikę papierów, aż zaszeleściły gniewnie, rozsypując się po podłodze i stołach.

— Wiosna, wiosna, rozgłaszał po wszystkich kątach. Wkrótce wakacje. Dzieci rozjadą się nad morze, w góry, na wieś. No, a te, co muszą zostać w mieście, też nie będą siedziały w domu.

Któżby miał czas na czytanie? — Będą szeroko otwartymi oczkami czytać w przyrodzie. A uważnie, co się dzieje na świecie dookoła: w lesie, na łące, w polu.

— A ty, kochane pisemko, co będziesz, robić w lecie? Ułożysz się pewnie na tej tu plice papierzysków i prześpisz całe wakacje.

Zafrasował się „Mój Światek" nie na żarty.

— Spać... odpoczywać.. przecież nie jestem jeszcze zmęczony.

— Za to my jesteśmy zmęczone— zastukały gwałtownie wszystkie drukarskie maszyny — a w dodatku, słyszysz uparciuchu, że dzieci wyjeżdżają na wakacje.

— A więc dobrze — zgodziło się pisemko, nie będę was męczyć, wy maszyny - staruchy, odpocznijcie do jesieni, do powrotu dzieci, ale ja — ani myślę gnuśnieć tu z wami.

— Muszę nazbierać mnóstwo najśliczniejszych, najmilszych bajek i tych prawdziwych, najprawdziwszych i tych z „tysiąca i jednej nocy". Muszę rozglądać się po świecie, zobaczyć i opisać jesienią to wszystko, czego dzieci nie dostrzegły, a co je zaciekawi. Muszę dotrzeć tam, gdzie one nie dotrą.

A ile rozmów ciekawych podsłucham i potem powtórzę?

O ilu życzeniach i marzeniach się dowiem i będę mógł je spełnić? Niech i ja zakosztuję wakacji.

— A więc do jesieni, a tymczasem dzieci bawcie się dobrze izdrowo i wesoło używajcie wakacji!

A na koniec „Mój Światek" prosi bardzo swych kochanych czytelników o jak najliczniejsze liściki. Napiszcie jak Wam było —coście widzieli i co przeżyli przez wakacje.

Najładniejszy spis dostanie piękną nagrodę od Waszego pisemka.

JAN MATEJKO

Dnia 30 czerwca upłynie sto lat — od chwili, gdy ujrzał światło dzienne ten, któremu niegdyś wręczył Kraków berło na znak — „iż jest królem sztuki polskiej".

Mały Jaś, syn nauczyciela muzyki w Krakowie, był najmłodszy z licznej gromadki braci i sióstr.

— — — — — —

W jadalni u pp. Matejków, przy ul. Floriańskiej w Krakowie, przy wielkim stole, kręci się kilku chłopców i przesuwa raz po raz całe bataliony i pułki żołnierzy, pieszych i konnych — bo rozgrywa się wielka bitwa. Jeden tylko chłopczyk nie bierze udziału w tej zabawie, choć [illegible]czki jego tak samo płoną, jak u jego braci, a oczy, jak gwiazdy się iskrzą.

Siedzi ten najmłodszy Jaś z boku — a spod palców jego wyrastają na kartonie żołnierze, barwni, kolorowi — jak żywi. Potem parę ruchów nożyczkami i oto batalion polskich ułanów wzmocnił się o jednego żołnierza a każdy witany okrzykami zachwyconych chłopców. Otaczają też bracia małego Janka wielką czcią, za to jego śliczne malowanie.

Za to samo „malowanie", w parę lat później wyleciał biedny Janek ze szkoły. — Miał wtedy 13 lat.

Rysunek przedstawiał „karę", a więc: ława, koło niej zgromadzeni uczniowie, skazani na chłostę i „tercjan" Bartłomiej z rózgą w ręce, a za nimi profesorzy. Knapczyński z wielkim brzuchem, Pogonowski, chudy, jak tyczka, z ogromnym nosem i sam rektor Tyrchowski.

Wyrzucono Janka ze szkoły, gniewał się bardzo na niego jego ojciec Franciszek Matejko, ale obrazek zaniósł któryś z tych ośmieszonych profesorów do dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych, p. Stattlera, bo był taki doskonały.

P. dyrektor orzekł, że Janek zostanie przyjęty do Szkoły Sztuk Pięknych — i tak w 14-tym roku życia, zaczął swoją karierę malarską.

W szkole pracuje gorliwie, pracuje ciężko ten najmniejszy ze wszystkich uczniów.

— — — — — —

„Drobny, milutki, mizerny w twarzy bladej o dużym, zakrzywionym nosie — tylko oczy ciemne z poza mocnych szkieł, jarzyły się" — opowiada mi matka, która widywała Matejkę w późniejszych latach, mieszkając na tej samej, co on ulicy. — Szedł zawsze zamyślony, z teczką pod pachą — szedł drobnym krokiem, a wiatr rozwiewał jego siwe, do ramion długie włosy, spod szerokiego czarnego kapelusza".

Drobny, mizerny pozostał widać do starości — ten, spod którego rąk wychodziły obrazy-olbrzymy. Olbrzymy i pod względem treści i pod względem obszaru. Takie, jak „Kazanie Skargi", „Rejtan". „Unia Lubelska", „Batory pod Pskowem", „Bitwa pod Grunwaldem", „Hołd pruski", „Kościuszko pod Racławicami", czy też „Jan III pod Wiedniem" — które malował stojąc nieraz na drabince.

Ciężko i gorliwie pracował całe życie, bo jak sam twierdził, chciał w równej mierze odpłacić się Bogu za swój wielki talent, a ukochanej Ojczyźnie za bogatą, piękną historyczną przeszłość.

Nie sposób wyliczyć wszystkich obrazów Matejki, bo takie było ich mnóstwo. Samym wyliczeniem możnaby zapełnić cały „Mój Światek".

Dla nas jednak Matejko pozostanie zawsze malarzem naszej historii i trudno pomyśleć, o jakiejkolwiek znanej postaci z naszej przeszłości, żeby jej nie widzieć tak, jak ją nam przedstawił Matejko.

A zobaczymy je na obrazach Matejki — nie takimi, jakie mu fantazja dyktowała — ale w każdym rysie twarzy, czy geście — w każdej fałdzie szaty, będą wierne, bo wiernie według dawnych wzorów wystudiowane.

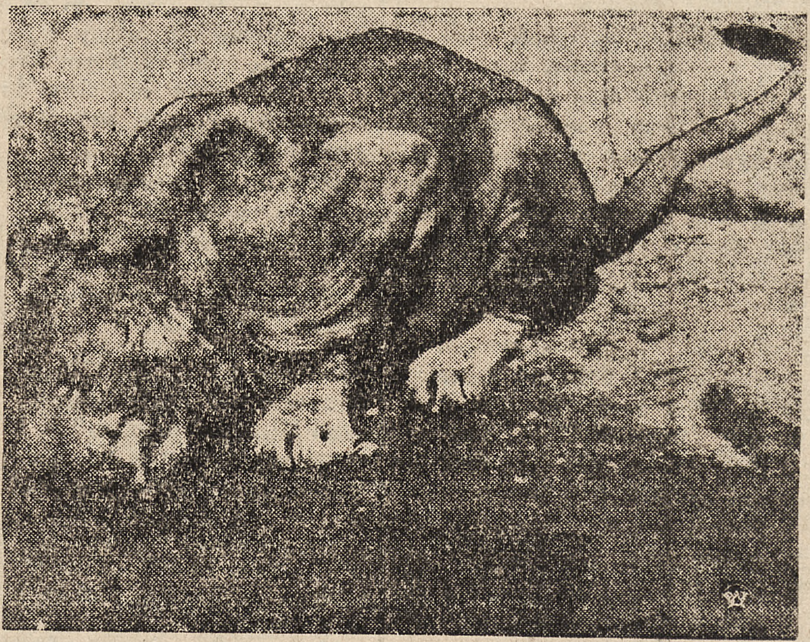
W pracowni Matejki było całe muzeum strojów dawnych, ubiorów mieszczan, szlachty i rycerzy — cały zbiór broni i zbroic i nawet wypchany koń naturalnej wielkości.

A jakże kochał swoją Ojczyznę Matejko! Tylko człowiek co mocno kochał, mógł z taką siłą oddać chwile potęgi i wspaniałości Polski, jak on — w „Hołdzie pruskim", czy w „Bitwie pod Grunwaldem" — i taką boleścią tragiczną napiętnować twarze „Ks. Skargi" czy „Rejtana" — w chwilach, gdy źle w Polsce się działo.

Ta miłość do kraju i do rodzinnego Krakowa, nie pozwoliła mu nigdy na długo wyjechać za granicę.

Ta sama miłość kazała mu odmówić, gdy Czesi proponowali mu, aby został dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych w Pradze.

— „Ziemi mojej — Polsce — miłość ma należy... — odpowiedział.



KRÓLEWSKIE ZWIERZĘ

Oto lew z berlińskiego ogrodu zoologicznego sfotografowany w momencie, gdy spragniony pije wodę

Odmówił i przez dwadzieścia lat uczył i kierował tą samą szkołą, do której wstąpił jako 13-letni chłopak i z której wyszedłł jako wielki malarz.

Żadna historia, żadnego narodu na świecie, nie miała takiego malarza. Przeszedł w myślach i w pracach swoich przez wszystkie dnie chwały i przez wszystkie dnie klęsk naszej przeszłości. To też zeszarpał swoje siły i zdrowie i przedwcześnie, bo w 55 roku życia umarł. Ale swego ukochanego Krakowa nie opuścił — i tam też leży pochowany.

KAZIK KONSTRUKTOR

Kazik postanowił zostać inżynierem mechanikiem. A w dodatku postanowił swoje „studia" rozpocząć natychmiast w myśl zasady „co masz zrobić — zrób zaraz — nie odkładaj".

Kiedy Staś śpieszył ze szkoły do domu i odciągał go od napotkanych samochodów i motocykli, Kazik oświadczył uroczyście:

— Nie przeszkadza mi w moich studiach.

— Studiach — zdziwił się Staś.— A o co ci chodzi?

— Przecież widzisz, że oglądam maszyny, bo chcę zostać konstruktorem — odparł Kazik.

Staś — o dziwo, nie roześmiał się, ani nie zaoponował, ale najpoważniej w świecie powiedział:

— To świetna myśl, mnie to zaprawda nie interesuje, ale wiem, że nam potrzeba zdolnych ludzi. Tylko, że tak oglądając z zewnątrz maszyny, niczego się nie nauczysz, przecież ludzie uczą się tego z książek. Poproś tatusia, a ja ze swej strony poradzę się Władka M., z mojej klasy, on wiecznie coś majstruje. W zeszłym roku na konkursach modeli szybowców dostał nawet jakieś odznaczenie.

— Stasiu mój złoty, jeszcze bardziej chciałbym budować samoloty niż samochody, powiedz mi coś o tym konkursie. W klasie mówiono nam tylko o konkursach baloników, urządzanych w tygodniu lotniczym. Przyczepia się liścik do balonika i całą rzecz w tym, który dalej poleci.

— Hm — mruknął Staś — to dobra zabawa, ale dla brzdąców, ty mógłbyś spróbować zbudować model samolotu.

Kazik dostał poprostu gorączki. W ciągu całego obiadu opowiadał z za-

WAKACJE

Ach, wakacje, koniec nauk,
to rzecz przecież znakomita,
na swobodzie przez dzień cały,
na wsi hasać chcę, i kwita.
Można od samego rana,
chodzić prawie bez ubrania,
i po ciepłej brodzić rzece,
i po łąkach się uganiać,
to dopiero radość — wiecie.
Prosto z grządki mieć sałatkę,
prosto z sadu, mieć owoce,
na werandzie jeść obiadek
i spać słodko całe noce,
przy donośnym żab rechocie.
A przy śpiewie skowronkowym,
wstawać rano, wesół zdrowy!
No, a w lipcu jak to bywa,
iść na pola, iść do żniwa,
i na wozie pełnym zboża,
do stodoły jeździć może.

piałem o tym, co to on zrobi, a potym tak utonął w projektach i marzeniach, że omal nie zapomniał o odrobieniu lekcji.

Znajomość z Władkiem, „doświadczonym już „konstruktorem" zrobiono nazajutrz w mig.

Biedny Władek był poprostu zadręczony pytaniami „nowicjusza". A z czego kadłub, a z czego skrzydła, a skąd i jaki motor

— Z gumy — oświadcza Władek.

— Z gumy, nie bujaj — obraża się Kazik. — Przecież taka maszyna nie poleci.

Dopiero w niedzielę na spacerze okazało się, że poleci i jeszcze jak.

Trzeba tylko wszystko dobrze i porządnie zrobić.

Teraz Kazik buduje samolot i ma rzy o konkursie LOPP. Zobaczymy, jak mu się powiedzie.

Polska wyprawa naukowa na Szpicbergen przeprowadzi badania nad lodowcami

Około 26 czerwca wyrusza z Warszawy wyprawa glacjologiczna na Szpicbergen, zorganizowana przez polskie koło polarne, na którego czele stoi znany badacz zagadnień polarnych prof. A. B. Dobrowolski.

Wyprawa została sfinansowana przez Polskie Towarzystwo Wypraw Badawczych, instytucję stworzona dla popierania i koordynowania wszelkich prac w dziedzinie wypraw badawczych.

Uczestnikami ekspedycji są pp. inż. Stefan Bernadzikiewicz — uczestnik poprzednich polskich wypraw polarnych na Szpicbergen i Grenlandię, doc. dr Bronisław Halicki, dr Mieczysław Klimaszewski i Ludwik Sawicki, którzy prowadzić będą badania nad lodowcami, ich działalnością oraz zjawiskami zachodzącymi na przedpolu lodowców.

Wyniki tych badań mają przyczynić się do pogłębienia naszej znajomości zjawiska zlodowacenia podczas t. zw. epok lodowcowej, kiedy przeszło trzy czwarte całego obszaru Polski pokrywał potężny płaszcz lodowca.

Wyprawa potrwa około 3 miesiące.

Nieposłuszna panienka poprawiona

Raz czubata kokoszka wyhodowała pomiędzy własnemi kurczątkami parę maleńkich kaczątek. Dopóki dziatwa ta wszystka razem siedziała w dużym garnku pełnym pierza, w jakim zazwyczaj umieszcza gospodyni świeżo wylęgłe pisklęta, dopóty wszystko było dobrze.

Ale wkrótce gospodyni powyjmowała je z garnka, a czubata kokoszka, pełna dumy i radości z tak licznej, pięknej i grzecznej dziatwy, zgromadziła ją koło siebie i wytoczyła się gromadnie na podwórze. Na podwórzu był mały staw, więc natychmiast kaczątka wybiegły z pomiędzy kurcząt i skoczyły do stawu, i pływać zaczęły kaczym zwyczajem.

Na taki widok kura czubata krzyknęła z przestrachu i nie mogąc sama iść w wodę za kaczętami, bo kura nie umie pływać, zaczęła z całych sił krzyczeć, wołając ludzi na pomoc. Ludzie przybiegli, a najprzód przybiegła Antosia z Ciocią. Antosia ugłaskała i uspokoiła kokoszkę czubatą, o ile było można, ale trudna była na to rada, bo kaczątka musiały pływać po stawie, a kura nie mogła.

Musiała się tedy kłopotać biedaczka po całych dniach, patrząc na pływające kaczęta, a sama chodząc ze swemi kurczętami koło stawu, choć nie bała się już tak okrutnie, jak z początku, gdy sądziła, że się jej wychowańcy potopią. Antosia często przychodziła nad staw i użalała się nad tym kłopotem czubatej kokoszki.

— Moja Ciociu — rzekła raz dziewczynka — dla czego też ta biedna kura podjęła się takiego kłopotu i wychowuje te kaczęta?

Ciocia popatrzała na Antosię i rzekła:

— Jak myślisz, dla czego też to ja wzięłam ciebie z miasta od Mamy i podjęłam się przez lato takiego kłopotu, jaki mam z tobą, gdy mimo zakazu biegasz do stodoły, gdzie są maszyny, młocarnia i sieczkarnia, a ja drżę i rozpaczam co chwila, czy ci się co złego nie stało, bo wiesz przecie, że maszyna może rękę urwać i zabić człowieka.

Antosia z wielką uwagą wysłuchała tych słów Ciosi, i zdziwiła się, i zmartwiła bardzo, bo chociaż już nie raz jej Ciocia zakazywała chodzić do stodoły, gdzie są maszyny, to przecież teraz dopiero jakoś zrozumiała zmartwienie i kłopot dobrej Cioci z przyczyny jej nieposłuszeństwa.

— Już nigdy ani krokiem nie pójdę tam, gdzie Ciocia droga nie każe! — krzyknęła po chwili ze łzami w oczach Antosia i uściskała Ciocię.

Dobra Łyska i wdzięczna owca

Franuś przyjechać na lato do wujana na wieś, a że był grzecznym chłopczykiem, więc wuj, wziąwszy go za rękę, pozwalał mu wszędzie z sobą chodzić po całem gospodarstwie, a poczciwa podwórzowa Łyska chodziła znów nieodstępnie za Franusiem, bo w wielkiej z nim była przyjaźni.

Zaszli tak raz w pole do owiec. Stanęli i patrzą, a owce, zobaczywszy Łyskę, nuż tupać na nią z gniewu, jak to one robią na psa, a przytem cofać się, bo owca zawsze się psa trochę boi, choć na niego tupie. Łyska także szczekała na owce i przyskakiwała niby do nich, szarpiąc po trochu, ale to wszystko nie było z wielkiej zawziętości, tylko ze zwyczaju. A wtem z pomiędzy owiec wyskoczyła młoda owieczka i przybiegłszy do Łyski, zaczęła się z nią pieścić, a Łyska nuż łasić się wzajemnie i aż skomleć z radości i przymilać się owej owieczce.

— Co to znaczy, wuju? — zapytał Franuś zdziwiony — jak żyję nie słyszałem, żeby owce tak się przyjaźniły z psami!

— Bo też rzadko to bardzo bywa — wuj odpowie — ale z tą owieczką wyjątkowo tak jest, a to z tego powodu, że gdy ta owieczka jeszcze była bardzo a bardzo maleńkim jagniątkiem, matka jej, stara owca

zapadła na ciężką chorobę i zginęła. Biedna maleńka, nie mając już kudłatego futra matki, aby się do niego przytulić wśród zimy, zaczęła tak drżeć, że już o mało nie zginęła. Wtem przyszło mi do głowy, że Łyska ma właśnie swoje małe pieski także czarne, jak owieczka, i że leży z niemi na sianie w oborze. Zaniosłem tedy tę owieczkę do obory i położyłem ją pomiędzy psiakami, uważając, co też Łyska powie na tego przybysza. Bo omylić się i wziąć ją za psiaka nie mogła, choćby już tylko dla tego, że owieczka była sześć razy większa od psiaka. Bałem się, czy Łyska nie udusi owieczki, gdy się rozgniewa. A tymczasem poczciwe psisko, jakby z litości nad młodem marznącem stworzeniem, przypatrzywszy mu się dobrze, przytuliło je do swoich ciepłych kudłów, i pielęgnowało tak, jak własne szczenięta, nie pozwalając ruszyć nikomu prócz mnie. Owieczka odżyła i pozostała przy swojej opiekunce, dopóki nie wyrosła zupełnie. Wtedy dopiero wziąłem ją do innych owiec do owczarni, ale mimo to, ile razy tylko zobaczy się z Łyską, zawsze się tak ze sobą cieszą, jak w tej chwili.

Wuj przestał mówić i wraz z Franusiem długo jeszcze przyglądali się z upodobaniem, jak poczciwa Łyska bawiła się i radowała ze swoją wdzięczną wychowanką.



— Tego chłopca niech pan nauczy jasnowidzenia?

— Sknąd pani wie, że się wogóle nadaje do tego?

— Bo zawsze doskonale wie, kiedy zapomnam zamknąć szufladę ze słodyczami!



zaprawa przyszłego sportowca...

— Mamo, prosi dziecko — daj mi rodzynków.

— Dobrze, — odpowiada matka — weź garść.

— Ach... wolę już, mamo, żebyś sama dała... to ich będzie więcej.